

WSPOMNIENIE O: JERZYM JANOCIE BZOWSKIM (1906 - 1941) - LOTNIKU



Jerzy Janota Bzowski
Kpt. pilot Polskiego Lotnictwa na Zachodzie

Jerzy, syn Józefa Janoty Bzowskiego i Wandy z Poklewskich Koziellów urodził się w Pasztawej Woli. Był trzecim z kolei ich synem.

Po latach dzieciństwa, spędzonych w Bobrownikach przyszła szkoła - początkowo w Kielcach, a następnie gimnazjum im. Jana Zamoyskiego w Warszawie i wreszcie Korpus Kadetów nr 2 w Modlinie, który Jerzy skończył jednocześnie ze swym młodszym bratem, Antonim. Ten ostatni nie przejawiał chęci do poświęcenia się służbie wojskowej - wolał tradycyjny w rodzinie zawód rolnika. Jerzy natomiast od młodzieńczych lat myślał o lotnictwie i tylko w nim widział swoją przyszłość. Tak więc rozeszły się losy nierozłącznych dotychczas braci - młodszy rozpoczął studia na SGGW w Warszawie, starszy wyruszył do Dębina do Centrum Wyszkozenia Lotniczego zwanego ogólnie - "Szkołą Orłąt". I tam zaczęło się twarde lotnicze życie, o którym marzył od dziecka, któremu był wierny aż do bohaterskiej śmierci. Lotnictwo - nie było dla Jerzego zawodem, było to powołanie. Jednym z jego ulubionych powiedzeń było: „dla człowieka nie ma pardonu”. I dla niego „pardonu” w tej wojnie nie było. Poległ śmiercią lotnika mając 36 lat... Kreśląc lotniczą historię Jerzego posłużymy się urywkami wspomnień jego kolegi.

Wspomina jego przyjaciel, Jan Hryniewicz:

"Szczególnie utkwił mi w Pamięci jeden bojowy lot Jurka w czasie kampanii wrześniowej w Polsce. Otóż w pierwszych dniach wojny na zwyczajnym powolnym samolocie łącznikowo - obserwacyjnym zaatakował on zmotoryzowaną kolumnę Wehrmachtu maszerującą na Warszawę. Podczas tego brawurowego lotu porucznik Bzowski obrzucił nieprzyjaciela ręcznymi granatami, których dwie skrzynki zabrał do samolotu. Ponieważ maszyna leciała bardzo nisko, zaskoczenie Niemców było spore. Ten wręcz samobójczy atak zakończył się dla załogi samolotu paroma przestrzelinami w skrzydłach.

... Wraz z innymi polskimi lotnikami po zakończeniu lotów bojowych w Polsce, Bzowski przedostaje się do Rumunii, gdzie został internowany. Ucieka z obozu rumuńskiego i po wielu perypetiach, okrężną drogą dociera do Francji. Tam jesienią 1939r. spotkaliśmy się na lotnisku Lyon - Brawn, które było dla nas jednym z punktów zbornych..."

W jednej z baz lotniczych środkowej Francji podporucznik Janota Bzowski przechodzi przeszkolenie lotnicze, opanowując pilotaż bombowych "Blochów i "Potezów" , Wykonał kilka lotów obserwacyjnych w rejonie osławianej Linii Maginota. Kampania we Francji nie trwała długo, a po podpisaniu układu z hitlerowcami przez marszałka Petaina - Polacy pragnący prowadzić walkę nadal, musieli udać się tam gdzie była ona możliwa. Wraz z małą grupą polsko - francuskich lotników, Bzowski obezwładnił straż hangaru. Następnie

wytoczono z niego bombowiec typu "Potez". Zbiorniki maszyny zatankowano do pełna i start. Działo się to 18 czerwca 1940r. przed południem. Samolot wziął kurs na Casablankę.

W przestarzałym bombowcu znajdowała się sześćoosobowa polsko - francuska grupa lotników, trzech pilotów, dwóch mechaników i nawigator. Prawie cały lot odbywał się na bardzo niskiej wysokości, aby uniknąć wykrycia przez Niemców, Uciekinierzy widzieli kilkakrotnie lecące wyżej nad nimi samoloty Luftwaffe. Piloci nieprzyjacielscy albo nie zauważyli pokracznej, zielonkawej sylwetki bombowca przylepionej do ziemi albo sądzili, że to francuski samolot obywatel uzgodniony z ich dowództwem przelot. Na ostatnich kroplach benzyny "Potez" wylądował w Casablance. Tam pozostawił samolot. Drogą morską przez Gibraltar dotarli do Wysp Brytyjskich ..."

W Anglii, - po przeszkoleniu na bojowych samolotach brytyjskich - Jerzy, awansowany na porucznika, trafił do 305 Wielkopolskiego Dywizjonu Bombowego, wyposażonego w dwusilnikowe bombowce typu "Wellington". Spotkał się tam ponownie z Janem Hryniewiczem, nawiązując jednocześnie przyjaźń z Tadeuszem Żeligowskim, synem generała. W kwietniu, 1941r. Dywizjon rozpoczął swą działalność bojową, wykonując w ciągu trzech pierwszych miesięcy około pięćdziesiąt lotów, tracąc w nich siedemdziesięciu lotników. Wśród nich znalazła się załoga wysłużonego samolotu "Elżunia", który do bazy nie powrócił. Jednym z członków załogi był Jerzy ...

Przytaczamy tu raz jeszcze urywek wspomnień kpt. Hryniewicza:

"... 14 lipca 1941 roku wieczorem obładowany "Wellington" startuje z bazy w Bramcote. Cel wyprawy - atak bombowy na wyznaczone w Bremen cele. Po wielogodzinnym locie "Wellington" porucznika Janoty Bzowskiego znalazł się nad celem. Był już 15 lipca 1941r. nad ranem. Miasto płonęło, okładane bombami przez samoloty z innych dywizjonów angielskich i polskich. Obrona przeciwlotnicza Bremen była jeszcze w tym czasie bardzo silna i wiele maszyn zostało strąconych. Celna seria z hitlerowskiego "flaku" dosięgła również maszyny Janoty Bzowskiego.

Wkrótce po zrzuceniu bomb zapalił się prawy silnik i część skrzydła "Wellingtona". W kilkanaście sekund ogień przerzucił się na cały samolot. Było już blisko do ziemi i spadochrony lotników nie otworzyłyby się na tej wysokości. Wszyscy zostali w płonącym kadłubie. Bombowiec z całym impetem zwałił się na ulicę, zapalając ciąg domów.

Następnego dnia rano Radio Genewa opublikowało listę załóg, które poniosły śmierć lub dostały się do niewoli hitlerowskiej. Wymieniono tam również nazwisko porucznika Janoty Bzowskiego i jego pięcioosobową załogę... "

Przyjaciele, Jan Hryniewicz i Tadeusz Żeligowski, po śmierci Jerzego otworzyli zaadresowaną do nich kopertę z listem Jerzego:

Kpt. pil. Jan Hryniewicz i por. pil. Tadeusz Żeligowski

W razie mojej śmierci albo zaginięcia proszę Was o zajęcie się moimi prywatnymi rzeczami. Jakies nieważne graty z ubrania itp. oddajcie komu chcecie ... pieniądze należności można złożyć do banku do odebrania, rzeczy drobniejsze schowajcie do mojej walizki i postarajcie się, żeby kiedyś bezwzględnie dotarły do Rodziny.

Adres mojej żony, Zofii - woj. Kieleckie, poczta Włoszczowa, miejscowość Bobrowniki (nad Pilicą). Proszę Was również o powiedzenie i przekazanie Żonie mojej, synowi Mareczkowi i córce Alicji, że byli zawsze, przez cały czas moimi i najdroższymi istotami; mimo iż listów nie mogłem z obawy o nich pisać, to całym sercem, byłem zawsze z nim, a cierpienia moje i ich ofiarowałam za Polskę, spełniając normalny obowiązek. Powiedzcie im i całej Rodzinie, że wstydu nie przyniosłem - to chyba ich cały spadek, który im mogłem zastawić. Mój spadek, który zabiorę - to troska o nich i o całą Polskę. Proszę Was jeszcze o pomoc w zaopatrzeniu

dla mojej Rodziny z racji mojej wojskowej służby i bądźcie - zawsze ich przyjaciółmi, jak byliście zawsze moimi. Przekażcie im moje myśli i słowa.

*Was, Janek i Tadzik, żegnam i dziękuję za wszystko. Wszystkich kolegów również pożegnajcie.
Jerzy 11.06.1941r.*

P.S.

Aha, gdybym był "missing", to wieście, że zrobię wszystko, co się da, nawet wtedy, gdybym sam był przekonany, że się nie da. Zabierzcie wszystkie fotografie. J."

W miesiąc później nadawca tego listu już nie żył. Był to jakby jego testament... My wszyscy, którzy znaleźmy Jerzego - czytając te słowa widzimy Go takiego, jakim był: prawego człowieka, dobrego Polaka i żołnierza ...

Został pochowany na wojskowym cmentarzu w Bremen, Gramke (Waller). W latach siedemdziesiątych grób Jerzego i innych lotników został przeniesiony z okolic miejscowości Saltau, przez które prowadzi autostrada E4 z Hannoveru do Hamburga.

Dzięki uprzejmości kpt. pil. Janusza Lewkowicza otrzymaliśmy wyciąg z Biura Historycznego Stowarzyszenia Lotników z "Unit of Pormation no: 305 Polish Squadron" Jerzego J. Bzowskiego, który poniżej podajemy:

WYCIĄG Z KSIĘGI LOTÓW

JERZY JANOTA BZOWSKI F/OUnit of Formation No: 305 POLISH Squadron

WELLINGTON

26.04.1941 2nd pilot Bombing HELLEVOESLUIS
04.05.1941 To MILDENHALL for blind approach ... (nierozpoznany teren z powodu chmur, zaciemnienia)
12.05.1941 1st pilot MINNHEIM
17.05.1941 1st pilot BOULOGNE
02.06.1941 1st pilot DUISBURG
12.06.1941 1st pilot Marshalling yards OSNABRUCK (krążenie blisko Osnabrück)
2nd pilot BATTLESHIP at BREST
16.06.1941 1st pilot DUISBURG
18.06.1941 1st pilot BREMEN
21.06.1941 1st pilot COLOGNE
24.06.1941 1st pilot COLOGNE
27.06.1941 1st pilot BREMEN
02.07.1941 1st pilot BREMEN
04.07.1941 1st pilot LORIENT SUBMARINES (łódzie podwodne)
06.07.1941 1st pilot BREST BATTLESHIPS (okręty wojenne)
07.07.1941 1st pilot COLOGNE (Bombed DUNKIRK due to engine trouhle)
(Zbombardował Dunkierkę z powodu defektu silnika)

WELLINGTON 5726

14.07.1941 1st pilot BREMEN - did not return - (nie wrócił)

17 LOTÓW BOJOWYCH - F/O BZOWSKI POLSKI KAPITAN.

Miał Virtuti i 4-ro krotny Krzyż Walecznych.

(Wiadomość ze Stowarzyszenia Lotników, Biuro Historyczne) Polish Air Force Association, 14 Collingham Gdns, London SW.5.

Zebrał: Janusz Lewkowicz (Sauadr. Leader) Kpt.6 lipca 1977r.

Źródło:

*Łącznik Rodzinny Janotów Bzowskich h.Nowina
Londyn 1978, Autorzy: Jan i Kazimiera Janota Bzowscy z Londynu*

Odpis z odpisu

INTERIM TREASURY COMMITTEE
FOR POLISH QUESTIONS
GENERAL BRANCH, SECTION D
63, Portland Place, London, W.1.
Nr. 59003 LM/JS

1. lutego 1946 r.

Ppor. Tadeusz Rejnert
Polish Military Centre,
X – C,
Rumpel, Nr. Lubeck,
B. A. O. R.

W odpowiedzi na list Pana z dnia 14. ub. m., zawiadamiam, że rzeczy śp. kpt. pil. Jerzego. Janoty Bzowskiego znajdują się pod opieką kolegów poległego – kpt. pil. Jana Hryniewicza i por. pil. Tadeusza Żeligowskiego. Rzeczy te zostały im wydane przez Dowództwo Dywizjonu, w którym służył ś.p. Janota Bzowski, zgodnie z pozostawionym przez niego testamentem.

W załączeniu przesyłam odpis testamentu zmarłego.

/-/ Dr Karol Poznański
Kurator Mas Spadkowych

1 załącznik

PAMIĘTNIK

Jerzego Janoty Bzowskiego
Poległego w akcji bojowej bombardowania Bremy
w dniu 14 lipca 1941 r.

„Proszę oddać Żonie”
12.VI.1940.

Dn. 1 – 7. IX.39 – Łódź.

Niebieska karta powołania R.K.U. Oczekiwanie. Mało i złe wiadomości z frontu. Walki powietrzne, bombardowanie.

Dn. IX. 39

Zameldowałem się w Sztapie Dowództwa Lotniczego Armji. Pułk. Iwaszk., pułk. Iżycki. Na drugi dzień zwolnienia i ewakuacji lotniska Łódź.

Dn. IX. 39

Wyjazd autobusem z Zofją i dziećmi do Grójca. Na drugi dzień wyjazd kolejką do Warszawy.

Dn. 5 – 6. IX. 39. Warszawa.

Zameldowałem się w Dtwie Lotnic. Rozkaz od mjr. Bohuszewicza odstawienia samolotu. Za dwie godziny wystartowałem z Warszawy na P.W.S., który prowadziłem LUBLIN – KRASICZYN – ŁUCK.

Dn. IX. 39

Poleciałem na P.W.S. z rozkazem gen. Głuch. do Lwowa, rano następnego dnia z lotn. pod Łuckiem wystartowałem jako obs. z por. Wojtulewiczem do Lwowa na Czaplę z rozkazami. Rano powrót.

Dn. IX. 39.

Jedyny bojowy lot na zadanie na ochotnika jako obserwator. Zadanie – zbadać przeprawy koło Zawichosta i Annopola na Wiśle, stwierdzić czy zniszczone i czy Niemcy je przeszli. Start przed 18-tą z Kraśniczyna. Wynik – przeprawy zniszczone, Niemcy doszli do Wisły – 7 pożarów. Jeden samolot pod nami. KM zaciął się, sprężyna. Strzelałem z lotu koszącego. Powrót cudowny (nawigacją) w nocy. Wrażenie, że choć raz coś robiłem.

Dn. IX. 39.

Z pod Łucka pojechałem samochodem do Bazy 4 pl. do Kowla. Na drugi dzień wysłano nas (pers. Bojowy) w kierunku granicy rumuńskiej do Kut i Śniatynia. Dostałem przydział do Szkoły Podchorążych Lotnictwa, z którymi przeszedłem granicę (zdawanie broni).

5 km. pieszo, potem pociąg tow. (po 80 w wagonie). Czerniowce. Bolosani (noc). Foesani pod Tulezią (4 – 5 dni jazdy). Wieś Frecatei – 4 dni.

Nadzieja wyjazdu do Francji.

Z Frecatei pieszo do Tulczy, potem kolejką (z podch.) przez Bukareszt do Statiny. Obóz koncentracyjny. Zupa raz dziennie, spanie na słomie, pluskwy, wartownicy, nęcza

beznadziejności. Któregoś dnia odłączono oficerów od podchorążych. Zostało oficerów dwóch – Kap. Gazda i por. Babiński. Ja zdjęłem dystynkcje ofic. i zostałem jako ordynans T. Babińskiego. Uciekłem przez bramę i pojechałem po paszporty do Bukaresztu.

Bukareszt 5 dni. Europejskie miasto, widać ubóstwo naszej kochanej Warszawy.

12.X. 39.

Wyjazd z Bukaresztu do Baleiku (chyba Balciku – przyp. TK) nad Morzem Czarnym. Mieszkałem w miłej willi nad samym morzem z Chłopikiem, Grodzickim, Czernym.

15.X. 39.

Godz. 21 – odpływam na morze greckim statkiem „NICOLAOS”. Po wielu trudach, łapówkach itp. przed wyjazdem. Statek mały i brudny, prycze, prymitywny, ale mimo niesamowitego tłoku (718 lotn.) wszyscy uradowani, że odpływamy z parszywej, złodziejskiej, łapowniczej, na pół zycziwej Rumunii. Nie zasługuje na nic dobrego, ani na dobre wspomnienia.

16.X. 39.

9 przed wiecz. – cieśnina Bosfor, Konstantynopol. Piękny wieczór, księżyc, półksiężyc, meczety.

Dalsze monotonne dni drogi okrętem, wyspy Lesbos, Kos, Rodos – puste, skaliste. Koło wysp włoskich, w obawie łodzi podwodnych, zamalowują znaki greckie. Dni i noce płyniemy z szybkością 14km/godz. Cypr, trochę zieloności, miasteczka.

21. X. 39. – Beyruth – o świcie.

Piękne miasto w górach, nowoczesny port. Francuzi, wojsko kolorowe. Piękne wojsko - wobec bezwartości rumuńskich. Rozdają piwo, papierosy, - uprzejmość.

Samochodami jedziemy do koszar – pięknych, nad morzem. Wita nas orkiestra.

Strasznie dla nas miłe wrażenie, po wartownikach i obozach w Rumunii.

22. X. 39.

Odpływamy dalej na statku francuskim, część z nas ma piękne kajuty, część niewygody, ale w ogóle o niebo lepiej – jedzenie doskonałe. W nocy płyniemy po ciemku. Ciągłe pełne morze...

„Ville de France”

(To wszystko pisałem już na francuskim okręcie).

X
X X

Nie było dnia, żeby myśl moja nie błąkała się przy Tobie, Kituś, i przy naszych Dzieciach – Alicji i Mareczku. Pisząc Wasze imiona aż mi się serce kraje. Co z Wami?... Tyle razy to pytanie dręczy... Wszystko, co drogie – zostawiliśmy, jesteśmy tułaczami. Jutro – będziemy żołnierzami.

Góruje chęć piekielnej zemsty, bez miłosierdzia i litości!...

Nie wiem co z Wami, czy życie, nie wiemy jak wróg obchodzi się z Wami. Jeszcze postawimy mu nogę na samym sercu...

Coś złowrogiego w nas tkwi. Budziłem się w nocy na okręcie, śniliście się mi... Ty smutna, Mareczek jakiś chudy i smutny, tylko Alisia się do mnie uśmiechała. Nie mam Waszej fotografii...

Wysłałem do Ciebie list przez Czerwony Krzyż i prosiłem jedną panią, która wracała z Rumunii, żeby u Was była.

Straszne czasy przechodzimy...

Kiedy wszystko się łamie – trzeba walczyć, trwać i wierzyć. Prawda zwycięża.

1. XI. 39.

Z Beyruthu do Marsylji przyплыliśmy w niedzielę 29 października wieczorem (7 dni).

W tej chwili piszę to na łóżku w Salons we Francji.

Przyплыnęło naszym statkiem 700, innymi – około 300. 1000 ludzi – lotników. Przyплыnie reszta – oby nie na darmo...

Byliśmy dzisiaj w kościele. Strasznie wrażenia i myśli. Jutro Dzień Zaduszny. Okropność – tu – Polska... Ludzie w niej, cmentarze...

To coś potwornego wprost.

Mówili wczoraj przez radio ang. o zniszczeniu Warszawy. Okolice Krak. Przedm., Świętokrzyska, N. Świat...

Czy rozumiesz, Zono moja, jak się strasznie o Was boję. Budzę się w nocy i czuję wprost fizyczny ścisk serca... Jeżeli żyjecie, Kochani, to co Wy przeżyliście... i jak przeżyliście? Nie mam Waszych fotografii. Nie mogę patrzeć teraz na dzieci, bo aż coś dusi... Co przejdę koło sklepu z zabawkami, to aż coś szarpie.

To się nie da wyrazić – to jest zbyt okropne...

Na froncie zachodnim prawie cisza. Nas jeszcze nie organizują, nie latamy. Żeby już coś było, każda godzina ciszy jest straszna – to godzina dłużej Waszej męczarni.

Ale ta cisza się skończy, pójdziemy pomścić się strasznie, tysiącrotnie!

Kiedy do Was wrócę, i czy wrócę?...

Mareczku, Synku kochany, pamiętaj zawsze, że jesteś Polakiem, ucz się całe życie Polsce służyć. Jej dobru i sprawiedliwości.

Nie masz prawa nigdy darować żadnemu Niemcowi, nie może być litości w zemście. Każdy z nas będzie nosić tę zemstę głęboko w sercu, aż do śmierci.

Jeden z Niemców, zestrzelony, zapytany (ciężko ranny, był wychowany w Lidzie), jakie jest jego ostatnie życzenie, odpowiedział: „Żeby kamień na kamieniu w Polsce nie został”...

Zapamiętaj to sobie, syneczku, zapamiętaj dobrze.

I Ty, Alisiu, droga Córuchno, pamiętaj też...

Wy, Dzieci drogie, zrozumiecie dopiero wtedy miłość Matki i moją do Was, gdy sami mieć będziecie Dzieci, gdy je będziecie kapać, chuchać na nie i dawać wszystko z siebie dla nich.

Zostawiłem Was maleńkich, bezbronnych, a mogłem Was zostawić tylko dla jednej rzeczy – dla Ojczyzny.

Jak mi strasznie wyraźnie stoicie w oczach, Wasze słodkie, kochane uśmiechy i szczebiotanie... „Jezi, Tati...”

Zrozumiecie to kiedyś, zrozumiecie ból, który szarpie. Niech Was Pan Bóg zachować i ochronić raczy, Matkę, i kochane główki Wasze...

Dn. 8.XI. 1939.

Jeszcze siedzimy w Selon. Jedyne wiadomości po polsku, to dzienniki z Londynu, o godz. 21-ej i z Pubczy o 22.15, których zawsze słucham. Prawie żadnych wiadomości z Polski nie podają.

Każdy wszystko dałby, za jakąś wiadomości o swoich!

Czy ta pani była u Ciebie, i czy powiedziała, że żyję?

Teraz podobno będzie można wysłać przez Orbis listy, czy to prawda i czy dojdą, no i czy Wy będziecie mogli do nas napisać?... Podobno Praga prawie wcale nie istnieje. Nie mogę wprost myśleć i pisać nie wiedząc o Was... Żeby choć znak życia.

Teraz jest cisza przed burzą, aż czuć jak się coś szykuje, ale my tylko rozważamy pod kątem widzenia losów Polski. Niemcy przygotowują się, zdaje się, na Belgię i Holandię. Nowe morderstwa. Żeby się tylko przeliczyli!... Jeżeli dostaną bardzo mocne uderzenie, co może być dopiero na wiosnę niestety, to Niemcy się załamią od lotnictwa. Muszą od niego zginąć. Co wtedy zrobią bolszewicy? Losy są tak bardzo ciemne.

Hitler czuje już jednak nóż na gardle.

Dn. 13. XI. 1939. Poniedziałek.

Śniłaś mi się dzisiaj, Córeczko maleńka. Przyszedłem do Ciebie, Ty stałaś przez chwilę, a potem – całym pędem małych nóżek biegłaś do mnie z okrzykiem: „Jezi!”, coś Ci spadło na główkę, jakiś szal, zdjęłaś go i rzuciłaś mi się na szyję, tak się mocno, mocno tuliłaś, a ja Cię objąłem, taką małą kruszynkę... To szczęście tak krótko trwałe... Co Wy tam przeżywacie? Nie śmiem nawet przypuszczać, że Wam się coś stało...

Dnia 1 grudnia 1939. Selon.

Czas płynie i ciągle nic. Nawet nie można chcieć, żeby już „coś” było, gdyż to jeszcze za wcześnie, jeszcze nie gotowa siła, jeszcze nie pora. To tak długo się wlecze. Przytem – ciągną, dręcząca myśl, że to przedłużenie dla Was w Polsce jest straszne. Czuję zupełnie we własnym sercu to bolesne oczekiwanie Wasze, które potęguje jeszcze przedstawianie Wam przez Niemców sprawy jako beznadziejnej.

Wiem, że wierzycie, wszyscy wierzymy święcie i czekamy... Czekamy niecierpliwie na wybuch tej burzy, w której weźmiemy czynny udział, która da wyzwolenie.

Kochana Żono. Kituś. Tyle już przeżyliśmy ze sobą, byłaś mi dobrą żoną, jesteś na pewno dobrą i wspaniałą Matką. Co przechodzić musisz, to na pewno opisać się nie da. Krótko Cię pożegnałem, Kochanie, to na pewno opisać się nie da. Krótko Cię pożegnałem, Kochanie, ale Ty rozumiałaś mój stan, Ty rozumiałaś, że to nie obojętność, tylko ogień, który mnie zżerał – patrząc na klęskę...

Ty wiedziałaś, że ja muszę wziąć czynny udział. Wdzięczny Ci byłam na to zrozumienie i byłaś dzielna. Taką Cię dziś pamiętam i chciałbym, żeby choć moja myśl serdeczna mogła do Ciebie dotrzeć, ogrzać Cię, podtrzymać... Chciałbym, żeby nigdy do Ciebie nie przystąpiła gorycz, że zrobiłaś mi jakąś przykrość itp. To ja mógłbym sobie dziś wyrzucać moją surowość, czy bezwzględność. Ty wiesz, i ja wiem, to człowiek nie jest mocny i ja zawsze jednak oceniałem, Twoją szlachetną intencję.

Zupełnie tego nie chcąc, wytworzyliśmy sobie życie dość trudne na razie. Trudności i braki musiały same przez się stwarzać nam pewne przykrości.

Wiele bardzo musiałem Tobie i nam w ogóle odmawiać. Życie nie jest łatwe i musieliśmy się dużo od niego odczuć, ale mieliśmy obydwójce najlepsze intencje i na pewno żylibyśmy szczęśliwie i miło.

Człowiek nie powinien liczyć dobra i szczęścia, które daje. Ja go nigdy nie starałem się liczyć. Jeżeli, Kituchna, nie masz przynajmniej żalu o coś, to już mi więcej nie potrzeba. Ja dla Ciebie czuję wdzięczność i podziw jako dla Żony i jak dla Matki. Ty mnie znasz – że nie byłem skłonny do pochwał, czy pewne nieporozumienia, tak, to teraz widzę tylko dobro, ponieważ piszę. Każdy dzień mam w oczach, taki szary nasz, skromny dzień, a mimo tego to samo myślę, co pisałem. Ciągle zwracam się do Ciebie, tak żywo i bezpośrednio, jak gdyby ani ten czas, ani przypomni i chciałbym to powiedzieć i tak jest każdego dnia. Pamiętasz pewno, jak Ci mówiłem o ciężkich próbach, o przełamaniu. Mówiłem, nie chcąc Broń Boże, Twojego cierpienia, ale wiedząc, że cierpienie uzdrawia człowieka i daje mu poznać wiele rzeczy, które były mu zupełnie obce, i zobaczyć to, czego nie mógł dojrzeć...

Kogoś swojego, drogiego, chce się zawsze wyrwać cierpieniu, nie można się też patrzeć – nie cierpiąc – na zło u tego kogoś, jak nie można patrzeć na jego cierpienia.

Ty sama to znasz, bo zawsze byłaś najserdeczniejsza, gdy Ci coś dolegało, czy bolało.

Dzisiaj, w Twoim bólu, nie mogę nawet wziąć udziału, nie widzę Cię i nie wiem, czy w ogóle będę mógł z Tobą jeszcze rozmawiać. Dlatego jest to takie okropne i beznadziejne dla nas i dla tylu rozbitych rodziny polskich. Żebym to choć miał pewność, że żyjecie, że przeszliście jakoś to bombardowanie.

O tym zupełnie nie mogę myśleć, a raczej gdy myślę, to rozpacz mnie ogarnia, której nigdy nie wypowiem...

Co wtedy robiliście, coście jedli, coście moralnie i fizycznie przeszli?...

Czy wiesz też, że ja żyję?... Czy Ci Niemcy nie wmawiali i nie dawali dowodów, że zginąłem. Nie wierz, Kochanie. Jak słuchałem kiedyś przez radio, że jakaś kobieta z dzieckiem na ręce, zastrzeliła jakiegoś Nemca, to aż się przeraziłem, bo zaraz wyobraziłem sobie Ciebie.

Już niedługo nam jechać do Anglii. Mają się oni starać wydostać i sprowadzić, ale czy to zrobią, a choć gdyby mogli, to czy mogłabyś Ty, z tak małymi dziećmi jechać taką drogę?... Czy już Cię jakaś wiadomość doszła ode mnie?...

Choćby nie wiem co było i nie wiem co mówili, Ty wierz, Kituś, ja w r ó c ę. Teraz – dobranoc, Kochanie, utul maleńkie główki Malusia i Alisi i tak Was na dzisiaj zostawiam w swoich oczach...

Dn. 8 grudnia 1939, piątek, święto.

Byliśmy w kościele na nabożeństwie polskim. W ogóle byłem dzisiaj bardziej niż zawsze zdenerwowany. Taka prosta dawniej rzecz – nabożeństwo – a teraz jest przyczyną ogromnego poruszenia duszy. Było ono na intencję Waszą – rodziny naszych w Polsce.

Te nasze, czy moje okropne chwile i dni, które czasem rozrywają, są niczym wobec Waszych, a przez to i my najbardziej cierpimy, rozumiejąc i czując to. Boję się o Was, boję się o Ciebie, Kituchno... Śniesz mi się tak jakoś niewyraźnie, smutno. Co Ty musisz przechodzić Kochana. Nie mogę myśleć, że Ci się mogło coś stać.

Tu można oszaleć w tym stanie i tym niepokoju. Czy jesteście w Warszawie, czy może w Bobrownikach?... Co tam Tatuś kochany, Marychna, Antek, Mamusia, Tadek, Janek, gdzie Teresa?... Co z wszystkimi innymi?...

Ta straszna zbrodnia musi mieć piekielną karę, ale kara nigdy nie będzie dostateczna, a nam nic się nie wróci z tych drogich osób, które tracimy.

Tak myślę często, czy czujesz, Kituś, że żyję, że myślę o Tobie, że każdy dzień przeżywam okropnie myśląc o Was... Czy wiesz, że jestem we Francji?... Żebyś to mogła mi dać, może przypadkiem, przez kogoś dać znać, choć jedno słowo... Codziennie słucham radia, codziennie gazety, groza, i nic więcej, choć burza rośnie i czuć ją i zwali się strasznie.

Żadna chyba kąpiel we krwi nie zatrze tych dni.

Byle prędko, każda godzina pali, a dotąd nic...

Jedno słowo od Was, a tu nic i straszna pustka.

Kraj nas, lotników, może oskarża, żeśmy uciekli. Gorzkie słowa byłyby dodane do i tak gorzkiej zbrodni wykonanej na nas z premedytacją... jeszcze hańba ucieczki...

To wyobraź sobie i uzmysłowcie... Przeszło 3000 samolotów niemieckich, a naszych – 300... trzysta ledwo! Reszta nas, lotników – pilotów, obserwatorów, około 2500 „uciekało”, nie mając w ogóle samolotów. Rozumiecie tę tragedię ludzi, którzy widzieli, że klęskę ponosimy przez brak samolotów bojowych, przez zbrodnię!? To nie dla nas hańba.

Siedzę tak, zabijam się uczeniem francuskiego i angielskiego, i przypomina mi się czas akurat rok temu, gdy też tak bez pamięci zabijałem myśli wszystkim, czym było można.

Dobranoc, Kochanie, dobranoc Alichno i Mareczku...

Dnia 1 stycznia 1940. Lyon. Francja

Przeszły najpiękniejsze i najmilsze święta Bożego Narodzenia, nadszedł Nowy Rok.

Nie wypowiedziana okropność dzisiaj takich dni, nie wiedząc co z Wami, a wiedząc jak wielkie i straszne jest Wasze cierpienie. Zabijam się czym mogę, bo wpadłbym w stan kompletnej apatii, albo w chorobę. Tyle miesięcy, a jeszcze ani słowa o Was. Wysłałam listy, wysłałam przed paru dniami pieniądze, a wszystko jakby nierealne. Piłbym dzisiaj wodę, żeby Wam móc posyłać wszystko. Ty wszystko jest, a jak pomyślę, że Wam zimno, że brak Wam wszystkich środków i jedzenia, to aż za gardło dusi... Śnicie mi się ciągle, ciągle Was widzę tak strasznie bezpośrednio i blisko...

Kiedy się to skończy, i czy Was zobaczę?... Aż mi serce zamiera, gdybym miał Was samych zostawić...

Powoli się organizujemy, pewno już niedługo pojedę do Anglii.

Każdy dzień jest długi, nie mam z niczego ani odrobiny radości, ani odprężenia, odczuć się chyba swobodnie myśleć...

Miasto też niemożliwe, widzę tylko sklepy, w których bym tylko dla Was mógł coś kupić. Ciepłe i inne piękne pończochy, śniegowce, ubranka wełniane, lalki, zabawki i łakocie, dla Alisi i Mareczka, futra Soni ...

Jeszcze dzisiaj, oprócz śniadania, nic nie jadłem, głowa mnie boli, trzeba chyba wyjść coś zjeść, bo dochodzi 7 wieczorem.

Tutaj taki mróz, co tam musi być u Was... Miliony myśli, gonią jedne – drugie, beznadziejne...

Niech Pan Bóg raczy pozwolić, żebyśmy już długo nie cierpieli, żeby stary, okropny rok zniknął jak zły sen, żebyśmy się w nowym zobaczyć szczęśliwi mogli i w szczęściu budowali życie na nowo...

Tak siedziałem z tym kieliszkiem i widziałem Was strasznie dokładnie, a dookoła siebie – nic...

Dnia 12 czerwca 1940, Tours.

Długo nie pisałem, bo nie mogę. Teraz znów trochę niebezpieczniej... jutro znów lecę do Paryża. Zawsze myślę o Was, moje serce i dusza zawsze należy do Was, moje bezpieczeństwo i życie nie należy dzisiaj ani do mnie, ani do tych, których kocham...

Dostałem trzy listy od Ciebie, Kochanie, rozumiem Cię (listy z 15 i 17. I.), ale życie Twoje ani naszych dzieci nie może zależeć od kaprysu i braku rozsądku.

Piszesz, że list mój był pusty... Pamiętaj, że nie piszę z Torunia do Warszawy, przejechałem 6 tysięcy kilometrów, a dzieli nas prawie połowa tego z przeszkodami.

Dbaj o dusze Dzieci.

Dobranoc, Kochanie, ucałuj Alisję i Mareczka, nasze Maleństwa, które nawet mnie dziś nie znają. Tatusiowi, któremu się chyba nigdy nie odwdzięczę dostatecznie i Antkowi, Mamusi i Wszystkim Wam moim i kochanym ślę najserdeczniejsze myśli i serce. Ciebie, Kituchna, całuję i – wierzę w Ciebie. Jerzy.

6 lipca 1940.

Znów dużo czasu upłynęło. Nic nie pisałem przez ten czas beznadziejny, kiedy widziałem jasno klęskę, która musiała przyjść dzięki bezładności, braku energii, bierności ludzi dowodzących, a egoizmowi i brakowi patriotyzmu ogółu.

Można by powiedzieć, że Francja została sprzedana i oddana przez wszystkich. Każdy się ratował, żołnierz, cywil, dowódca. Każdy się usprawiedliwiał. Każdy chciał za wszelką cenę żyć, dlatego Francja musiała umrzeć...

Po zawarciu rozejmu odetchnięto z ulgą, że już jest błogi spokój, że można będzie dalej pić wino; a że przyjęto, i musiano w końcu przyjąć, haniebne warunki, z tego to dziś

zaledwie część Francuzów zaczyna sobie zdawać sprawę. Francja walczyła o wolność innych narodów, nie rozumiejąc sama, co to jest O j c z y z n a.

Poczucie własnego dobrobytu – wystarczało.

Widziałem wiele rzeczy, wszędzie panika, lub bezmyślność, niefrasobliwość. Dla samochodów brak benzyny, kolejarze gdzieś pouciekali, na przestrzeni Paryża – Bordeaux widziałem zaledwie kilka pociągów.

Palono wszystko na lotniskach, kiedy Niemcy byli o 150 km. „Tout le monde se sauve”. Każdy się ratuje.

Francja została zajęta bez oporu.

22 maja 1940.

Byłem w Sztapie Głównym u pułk. Kędziora i podałem szczegółowy plan użycia całego lotnictwa Francji, lotnictwa nie nowoczesnego, ale doskonałego – około 2000 samolotów, użycia tego lotnictwa, łącznie z nowoczesnym – w masie około 5000 samolotów.

Miałoby to nieobliczalne skutki, mogło zmienić losy wojny.

Nie zrobiono tego. – To była zbrodnia.

Jeżeli ww. pułk. nie powiedział tego wtedy gen. Sikorskiemu, winien być pierwszy rozstrzelany.

Już raz uratowały Francję taksówki paryskie.

Wtedy, 13 czerwca, nie doleciałem do Paryża z powodu strasznej mgły.

W Tours byłem do chwili spalania wszystkiego. Wyleciałem ostatni, biorąc do mojego Blocha kapt. Karczewskiego, ppor. Hohnego, ppor. Słoniskiego i jego narzeczoną; przedtem wywoziłem wszystkich innych kolegów.

Bombardowania nie wyrządziły dużych szkód, lecz na wszystkich padł blady strach. Raz przyszedł jeden samolot, usłyszałem gwizd bomb, przewróciłem dwóch szeregowych francuskich i sam zdążyłem upaść w ostatniej sekundzie – tylko przeszedł gorący oddech i szeregowy dostał lekko w rękę.

Odwoziłem strąconych pilotów angielskich do Nantes.

Latałem po naszych pilotów do Angoulême i Bordeaux.

Z Bordeaux zrobiłem ryzykowny lot w nocy na moim Blochu bez oświetlenia (14.VI)... Leciałem mając 8 polskich pilotów w swojej maszynie, prócz mnie i rzeczy. Maszyna obciążona, ale poza tym narażałem się na zestrzelenie. Koło Tours strzelali do nas, tylko raz trafili w kadłub, ale nikt nie dostał.

Wylądowałem w porządku, mimo, że lotnisko przed paru godzinami było bombardowane. Kazali potem lecieć na Południe z mechaniczami francuskimi.

Łąkowałem w Regnac, koło Tours, Poitiers, Angoulême, Bordeaux, Mont de Marsan. Tam zmieniłem moją maszynę na innego Blocha z zapasowym silnikiem.

22 czerwca 1940

Poleciałem do Perpignan nad Morzem Śródziemnym, cudem udało mi się zauważyć przy próbie, że ten inny Bloch miał wadliwie połączone silniki i wystarczyło mu tylko 2 godz. 20 min. lotu.

Zamierzałem lecieć przez Morze Śródziemne do Afryki, do Algieru. Byłbym zginął bez wieści poza wyspami Balearskimi. W ostatniej chwili wieczorem, dostałem inną maszynę Potez 541 z dwoma motorami Loreina, benzyny na ± 5 godz. 15 min.

Zdecydowałem się lecieć w nocy, ze względu na bazy lotnicze na Balearach. Pogoda była fatalna, z burzami i błyskawicami, no i 700 km nad morzem.

Jako załogę miałem 2 oficerów polskich – ppor. Szanzajew i ppor. Hohne, 2 mechaników polskich i francuskich. Razem – 6 z bagażami.

Wszyscy byli zdecydowani lecieć, mimo tego, że nie znali mnie dobrze jako pilota. Przed lotem byłem zmęczony jak dzik, więc od 12 do 1 w nocy położyłem się trochę, bez snu, żeby odpocząć. Jak mnie zaczął morzyć sen, trzeba było wstawać i lecieć.

Co innego zupełnie latać w nocy u nas, a co innego nad morzem i w morzu chmur. Start przeszedł ciężko, ale dobrze, ale czeluść – czarna kompletnie. Na tym typie maszyn latałem, ale tej właśnie nie znałem, ani pewności jej motorów.

Lot – kompletnie na przyrządy. Gdybym nie wytrzymał nerwowo i choć przez chwilę pozwolił wyjść maszynie z położenia normalnego, to już koniec z nami, gdyż wyprowadzić z korkociągu lub innej ewolucji – bez widzenia jest niemożliwe. Gdyby któryś motor nawalił – to koniec. Nie mieliśmy ani korków, ani radia – nic...

3 godziny leciałem, nie widząc nic prócz zegarów – ani wody, ani nic. Szedłem coraz wyżej – do 2000 metrów.

Powrotu już też nie było.

Cokolwiek by było – trzeba było lecieć.

Poza tym widać było księżyc i zwały chmur pod nami, czasem nad nami, z boków, lub w ogóle w chmurze. Wtedy były wspaniałe i groźne widoki.

Po pierwszej godzinie lotu koledzy podawali mi zapalonego papierosa i potem już ciągle. Gdy się rozwidniło pozwoliłem poprowadzić trochę tamtym dwom kolegom.

Gdy zszedłem z siedzenia do kadłuba, dopiero zobaczyłem jak byłem zmęczony.

Oni zmienili kurs trochę i nie wyszliśmy na Algier, lecz na wschód. Usiadłem na lotnisku w Philippeville nad morzem, tam czekaliśmy na benzynę dwa dni.

Następnie odlecieliśmy do Algeru, a po jednym dniu – do Oranu. Tam musieliśmy zostawić maszynę i kolejną przyjechaliśmy do Cassablanki, nad Atlantykiem.

Dn. wypłynęliśmy okrętem angielskim do Gibraltaru – bez przygód, bez wygód.

Z Gibraltaru wypłynęliśmy 2 lipca o godz. 16.30 w towarzystwie dwudziestu innych okrętów.

Teraz płyniemy wolno, czwarty, właściwie piąty dzień. Pogoda się popsowała, wszystkie okręty huśtają, ludzie trochę chorują. Ja jak zwykle – nie choruję i czuję się bardzo dobrze.

Dlaczego płyniemy do Anglii? – trzeba się bić dalej.

Pamiętam, że mam Was, czuję Was stale przy sobie, czułem Was podczas lotu nad morzem (noc z soboty na niedzielę 22/23 czerwca). Wyteżyłem wszystkie siły, żeby się coś nie stało, walczyłem dzielnie... dla Was. W Cassablance kupiłem dla Ciebie, Kochanie, śliczny krzyżyk. Żeby Pan Bóg dał, żebym Ci go sam mógł dać... Mam dla Ciebie ładny szlafroczek i pijamę japońską i bransoletki.

Wierzę w każdym razie, mimo nawet takiej sytuacji jak jest, że przyjdzie chwila strasznej i nieprzewidzianej klęski na Niemcy. Tylko – cały świat musi najpierw zrozumieć swoje upodlenie i przygotować się do przeprowadzenia bezwzględnych zmian w organizmach państw. Nareszcie powołać prawdziwych ludzi... bez takiej tragedii było to niemożliwe.

Myśl moja i serce jest przy Was, Wy mnie chyba rozumiecie, tak jak ja rozumiem Waszą niedolę.

Jestem dumny, że jestem Polakiem. Nasz naród jest piękny. Nie można go nawet porównać z tymi, które widziałem. Tylko Polacy we Francji odmówili rozkazu wycofania się i prawie wszyscy tam zostali zabici.

Wiem, że niepokoisz się o mnie, Kochana, i Wy Wszyscy. Ja nie mam nawet możliwości Was zawiadomić w takich warunkach. Ty czekasz listu, jak czekasz. Prosiłem niektórych, może wrócą do Polski, może Ci powiedzą, że żyję, i że mam nadzieję.

Czy Alisi znać bardzo to znamię? Jakie one są, te nasze dziecińcy kochane... Czy trzymasz się, Kochanie, myśl moja pomaga Ci stale. Trwajcie! Mnie też nie lekko. Czekamy.

8 lipca (1940)

Leżę w hamaku na pokładzie, myślę o Was.

Było dwa dni burzy, teraz dość spokojnie, ale większa możliwość łodzi podwodnych i samolotów niemieckich. Przepływamy wzdłuż Francji, bardzo daleko od brzegów – około 1000 km.

Od Polski zrobiłem 6000 km, żeby dotrzeć do Francji. Teraz znów półkole, żeby się dostać do Anglii.

Co Wy musicie przeżywać po zwycięstwie Niemców nad Francją...

Nie mogę pisać, bo trochę rzuca. Jest 10.30 wieczorem, a jest zupełnie widno.

Napisać do Was, uspokoić Cię, to ciągle dręczy, a to niepodobieństwo.

11. VII. 40. Wypłynęliśmy z Gibraltaru w poniedziałek, dzisiaj jest czwartek. Już widać brzegi Anglii i Irlandii.

12. lipca (1940).

Po obiedzie dopłynęliśmy do portu Liverpool. Znów skończył się jeden z etapów wędrówki.

Różni – różnie ją traktują. Jedni zadowoleni, że oglądają coraz to nowe części świata i miejsca, inni, zadowoleni zwiedzają wszystko, ażeby móc potem o wszystkim opowiadać.

Mnie np. to całe wojażowanie nie wprawia żadnej przyjemności. W normalnych warunkach rwałem się w świat, wszystko oglądałbym z rozkoszą. Dzisiaj – nienawidzę tych, co się cieszą... czyż są tak głupi... albo może ja tak się zmieniłem.

Ja Was i całą Polskę tak czuję, tak żyję Wami, że cieszyć się tutaj wszędzie nie jestem w stanie.

Żyję nadzieją, spieszę się ciągle naprzód i dalej, do prawdziwej pracy, zdaje mi się, że przyspieszyć mogę wypadki i przygotowania do walki o Was. Losy Francji odłożyły uwolnienie, które zdawało się tak niedalekie. Poraziło to na pewno Was ciężko i boleśnie. I na nas się odbiło tragicznie.

Może jeszcze tak trzeba. Świat musiał zobaczyć sytuację b e z n a d z i e j n ą. Ona tak na pozór mogłaby wyglądać. Tak nie jest, jest zupełnie inaczej, niż wygląda.

29 lipca (1940)

Pojutrze Twoje urodziny.

Tak to jest strasznie wszystko smutne. Ty nawet nie wiesz, gdzie mnie złapać myślą, czy żyję...

Jestem w tej chwili nad samym morzem, w pensjonacie w Blackpool, w Anglii.

Sobie myślisz... widzisz, Jerzyku, jaki Twój Son już „stary”, już rok prawie jak Ciebie nie ma, może choć wiadomość dostaniesz o mnie od p. E. Skity, że żyję. Telegrafowałem do niej i odtelegrafowała, że natychmiast Cię zawiadomi. Wiem, że po tej tragedii francuskiej i długiej niepewności, taka wiadomość Cię ucieszy i uspokoi. Chciałbym bardzo, żeby to właśnie było dzisiaj.

Niczym tu wszystko dla mnie, do Was wrywa się serce każdego dnia... Mam siłę stalową, trzymam się mocno.

Najpierw musimy zwyciężyć. Bez tego nie ma życia i szczęścia dla nas i dla naszych dzieci. Wytrzymaj, Kituchna...

7 sierpnia 1940.

Dzisiejszej nocy, z 6/7 miałem sen. Obudziłem się z strasznym biciem serca, kompletnie wyczerpany. Śniło mi się, że byłem w Polsce, w domu, w jakimś dużym mieszkaniu. Przywitałem się z Tobą. Ty byłaś bardzo dobra i serdeczna, byłaś zajęta dziećmi, które widziałem niewyraźnie. Alisia duża przebiegła. Potem siedziałem na kanapie i

położyłem tam moją (Twoją) afrykańską bransoletkę, którą noszę jako „Podeszeichen” z nazwiskiem. Przyszedł Antek, usiadł na niej i połamał niechcący. Ty przyszłaś wystraszona, że przyszli Niemcy na rewizję i mnie szukają. Byłem po cywilnemu, podałem im, że pochodzę ze Śniechowa. Stało tych dwóch Niemców, jeden wielki i gruby. Pierwszy, chcąc mnie złapać, zapytał którądy się tam jedzie, powiedziałem, a raczej powtórzyłem za szeptem Antka „przez Czechów”. Niemiec powtórzył „Czeków”, dalej się jakoś zagmatwałem, a on mnie aresztuje. Ponieważ wiadomem mi się stało co to znaczy, więc strzeliłem do mniejszego, zabiłem go (we śnie rzadko to się udaje!) potem strzeliłem dwa razy do wielkiego i też się załamał... Wtedy Ty powiedziałaś: „musisz Jerzyczku natychmiast uciekać” - żadnej obawy u Ciebie nie było. Pomyślałem sobie jakoś sennie o Dzieciach i wybiegliśmy z Tobą na ulicę i biegliśmy w kierunku kościoła Zbawiciela. Na jakiejś przeszkodzie Ty się potknęłaś, zdjęłaś pantofelek. Jeszcze przedtem stanąłem i powiedziałem Ci „jakaś Ty bardzo dzielna”. Pocałowałaś mnie. Gdy Ci spadł pantofelek, zobaczyłem jak przed włożeniem go, kolek wewnątrz był cały potrzaskany, zniszczony i musiał Cię bardzo uwierać. Wtedy dopiero, tak jakby mnie obuchem zderzono, tak jak bym dopiero w tym momencie zrozumiał Twoje cierpienie, Twoją dzielność, Twoje narażenie się z Dziećmi na zemstę Niemców. Twoja prostota powiedzenia: „musisz już sam dalej iść, Jerzyczku, wrócę do dzieci”. Zacząłem iść w ciemną noc, jak automat, zaczęło mi być okropnie duszno, zaczęło się dziać coś straszego, nigdy mi jeszcze tak serce nie waliło. Byłem spocony i rozbity.

Po obudzeniu poleżałem chwilę, potem zapaliłem światło i papierosa, pomodliłem się za Was gorąco i po bardzo długim czasie – zasnąłem znów.

Ciągle siedzimy w Liverpool, nic nie robiąc. Zgłosiłem się dzisiaj do pracy przy żołnierzach, którzy bardzo potrzebują dobrych i rozumnych ludzi.

Wrzesień (1940)

Już trzeci tydzień jestem na lotnisku w Benson.

Skończyliśmy wyszkolenie teoretyczne w ciągu dwóch tygodni i jutro zaczynam latać. W dzień jest na ogół spokojnie, ale noc pełna warkotu samolotów naszych i niemieckich. Błyski, reflektory, alarmy itp.

Każda chwila zbliża nas do zwycięstwa. Nasi piloci walczą wspaniale – wczoraj na 161 samolotów, jedna eskadra polska straciła 31.

Wściekłość wszystkich nas jest po prostu straszna. Mamy ciągle Was w myśli i żadna zemsta nie jest po prostu straszna. Mamy ciągle Was w myśli i żadna zemsta nie jest dla nas dostateczna. Koło losu dziwnie i niespodziewanie się toczy.

Słucham dzienników radiowych. Czy Wy macie chociaż wiadomości prawdziwe, a nie tylko te przekłete – ich?...

Dn. 3 stycznia 1941. Syerston.

Kituchnu, moja droga. Jak mi się śniłaś strasznie... Takie sny są dla mnie przeżyciem. Moja Droga, czy Ty nie jesteś chora?... Tak mi się śniłaś, że powiedziałaś mi, że jesteś chora na otwartą gruźlicę. Na Miłość Boską, przecież – sen mara, Bóg wiara. Niech Cię ma w swojej Świętej opiece. Tak się stale boję o Twoje siły, o Twoje zdrowie...

Wiem, czy jest Twoja obawa o mnie. Spytałem Cię jeszcze o Dzieci, powiedziałaś mi: „Dzieci są zdrowe”. Znów tak się obudziłem jak kiedyś, to jest straszne!...

Ty mnie znasz, wiesz jak jestem silny, wszystko zniosę, obawa o Was jednak, zre mnie straszliwie!...

Wrócić... Boże, jakież to szczęście ogromne, nieopisane, a jak nieprawdopodobne... Bo czyż ja jestem lepszy niż ci Polacy, lotnicy, co dzisiaj tak giną... Jutro pojedę na pogrzeb jedenastu kolegów, którzy się zabili wracając z p i e r w s z e g o lotu na Niemcy... Leczą Brema – pali się.

Jestem w takim samym dywizjonie polskim bojowym, z jakiego byli tamci.

Dywizjon mój, nr 305 – całkowicie polski. Maszyny Ż – Welling – tony, wielkie dwumotorowe. Jestem jako pierwszy pilot (lata po dwóch).

Dotąd jest komu pisane – nie wiadomo, ale ci co wchodzą do akcji, mają niewielkie szanse.

Myśl moja nie odłącza się od Polski i od Was... dla Was żyję, a życie jest tylko w ręku Pana Boga...

My zwyciężymy, Moi Drodzy, Kochani. Każdy nasz wysiłek zbliża to zwycięstwo.

Jestem teraz od Was o p i ę ć godzin, czy rozumiesz to, Kituś? Każdej chwili mógłbym wsiąść do mojej maszyny i być u Was, czy nad Wami. Wiem, że polecimy do Polski na bombardowanie.

Co za uczucia, być ciągle tuż przy Was, odczuć najboleśniej Wasze cierpienie i wrócić...

Bądź zdrowa, Kochana, ja wrócę, da Pan Bóg Najświętszy, który dla Was, modlących się do Niego, pocieszy.

Straszne było zawsze uczucie bezradności... Dziś stoję bezradny wobec Waszego cierpienia. Niczym jest dla mnie wszystko tutaj.

Kocham, i nienawidzę – to są dwa uczucia dzisiaj.

Wszędzie ta groza. I tu ludzie, dzieci chorują i są mordowane, ale Pan Bóg jest sprawiedliwy.

Bądź zdrowa i silna, Kituchnu, szanuj się, niech Cię Pan Bóg ma w swojej opiece i Dzieci nasze.

W Wigilię, w Nowy Rok – te myśli są rozszalałe.

Wiem, że muszę być zawsze spokojny, uważny, będę miał po osiem godzin lotu w nocy, po parę tysięcy kilometrów, nieraz w strasznych warunkach.

Myśl o Was doda mi zawsze siłę, a modlitwę o Twoją będę zawsze czuł. Do widzenia, Kochanie. Wysłałem do Was telegram przez p. Skitę i list, nic nie mam, nic nie wiem...

Dostałem dzisiaj pośrednią drogą, przez p. Skitę i por. Wojtulewicza, wiadomość telegraficzną: „All are well thinking much on You awaiting more news. From mother no news loving Stasia Bzowski”.

Macie się “dobrze”, czekacie więcej wiadomości.

A ja Wam nie piszę, bo nie chcę na Was ściągać jakiegoś nieszczęścia...

Myślę, że p. Skita napisze do Was i powie Wam, że żyję, że żyję dla Was, tego Wam nie powie, ale przecież musicie to czuć.

Ty wiesz, że potrafię się trzymać żelazną ręką i jestem zawsze mocny, mimo ogromu uczucia. Nic, co mnie boli i szarpie, gorsze jest dużo dla mnie, że Wy cierpicie, że cała Polska tak cierpi.

9 lutego 1941.

Dlaczego nie piszę do Ciebie, do Was. Czy dlatego, że brak mi stołu, czy nie mam co pisać, czy nastrój mój jest zły?...

Wiem, że powinienem myśleć nie tylko o powrocie, powinienem również myśleć o Was, a gdybym nawet sam wyższym zrządzeniem nie miał wrócić...

Czy Ty i Wy wszyscy moi i Ty, Alisiu i Mareczku, mielibyście wtedy myśleć, że nie myślałem o Was, że nie byliście jedyną myślą moją, troską? Wiem, że ani Ty, Kituchna, ani nikt inny z moich Najbliższych, tak nie pomyśli, ale przecież chciałbym, żebyście mieli jakiś ślad widomy.

Jaką jest moja troska i możliwości realnej pomocy? Otóż obecnie ci, co robili starania o wysłanie paczek, dowiedzieli się, że za 8 funtów przysłano im do domu w Polsce ½ kielbasy, reszta skradziona.

Listy wysyłam coraz to inną drogą. Poza tym boję się, że mogą one, choć niewinne, zwrócić na Was uwagę.

Zbierać dla Was pieniądze na przyszłość? Może po jakimś czasie będę mógł coś odłożyć. Żadnego dodatku na rodzinę nam nie płacą.

Do poprzedniego miesiąca płacono mi zaliczkami, na raty, tak że wypadało około 18 funta na miesiąc, z czego 10.11 ft. – kasyno, reszta – różne bieżące potrzeby i częściowo spłacanie długu, kiedy przedtem braliśmy 17,5 szyl. tygodniowo (1ft. = 20 szylingów).

Obecnie biorę gażę ppor. tj. ok. 20 ft. Dwa razy wyjazd do Londynu w ważnych sprawach – 10 ft., kupiłem drugi rewolwer i znów nie ma. Mam 5 dolarów, których nie mogę Wam wysłać. A i na razie – możliwości.

Pieniądze Polskie, których kupiłem jeszcze za franki we Francji wysłałem Ci przeszło 4000. Czy choć trochę dostałaś – nie wiem.

W Polsce nie zostawiłem Ci nic, a tutaj też majątku nie mogę zrobić.

Co robię tutaj? Jestem w tej chwili jako pierwszy pilot na maszynie bombowej Wellington, wagi 13.000 kg. Sześciu ludzi załogi, ok. 2000 kg bomb.

Na Niemcy jeszcze nie latałem, a mój Dywizjon (polski) nr 305 jeszcze na zadania bojowe nie latał, ale polecimy po krótkim doszkoleniu.

Dzisiejszy dzień np.:

Jestem w bardzo złym stanie nerwowym, trochę zaziębiony, zły taki, jak czasem potrafiłem być. Nie latałem dzisiaj, bo pogoda b. zła. Kolegów specjalnych tu nie mam. Jestem sam. Czasem mi z tym dobrze, czasem źle. No ogół humor mam „dobry” względnie i siły mam dużo. Nigdy nie jestem bierny.

Teraz siedzę sam w pokoju i piszę na łóżku. Godzina 20-ta. O godzinie 21.20 jest Dziennik Polski. Czy Wy go słyszycie choć z innych ust kiedy?

Mam od tygodnia kilka Twoich, Kituchna, zdjęć z plaży w Niecieczy od Tomka. Dziwne wrażenie przeżyłem, gdy je dostałem...

Dzisiaj wyjątkowo źle się czuję, ale to przedzie i to... mucha! Te dni tak idą wolno, idą ku wolności. Boże, ale jakżeż wolno!!

Spodziewamy się tutaj inwazji, aby była ona klęską Niemców. Mam dwa rewolwery i karabin. Oczywiście oprócz mojego samolotu, na którym polecę.

Żyję dla Was, myśl moja i całe serce jest Wasze.

Nie chcę tu na nic patrzeć i nic widzieć, nic nie ma dla mnie innego jak wojna i Wy. Koło dzieci nigdy nie mogę przejść obojętnie, o naszych Dzieciach Alisi i Marcuszu myślę.

Dn. 27. IV. 1941.

Przedwczoraj miałem pierwszy lot bojowy w nocy do Holandii. Długo na to musieliśmy czekać.

W Polsce prawie nic, we Francji też prawie nic, dopiero teraz zaczyna się krwawa robota. Nareszcie radość zabijania, tak jak nas zabijali... Tym samym zupełnie będę płacił. Jak najwięcej chcę zabijać, być wykonującą ręką sprawiedliwości i nie ma winnych i niewinnych dla nas. Dziecko nawet – miłe, niewinne dzisiaj, dziecko niemieckie – może zabić kiedyś moje dziecko...

Bomby z naszych Polskich rąk powinny zabijać stokrotnie więcej.

Latamy po sześciu ludzi w załodze. Na ten lot nie poleciałem ze swoją załogą, ale na prośbę dowódcy dywizjonu (mjr. Kleczyński), poleciałem z jego załogą jako pilot.

Startowałem o 20.30 wieczorem. Startowało, co 10 minut, pięć naszych maszyn z dwóch dywizjonów.

Niejako inauguracja.

Wszyscy byli tego dnia dla nas specjalnie mili – i Anglicy i Polacy. Żegnały nas liczne gromadki przy maszynach, wzruszeni jakoś niezwykle.

Wszystko w maszynie po próbie było w porządku i bomby po 500 ft. i zapalające.

Wystartowałem pięknie – jako trzecia maszyna z kolei.

Jeszcze nie było kompletnie ciemno, lecz powoli zapadała bezksiężycowa noc. Na razie lecieliśmy nad Anglią, ok. 6000 st. 2000 m. Dużo świateł rozpoznawczych na ziemi; potem weszliśmy nad morze. Coraz to nabierałem wysokości... 8000 ... 10.000 ... 13.000 st. Ciemność już była zupełna. Już z daleka przed sobą widzieliśmy światła i strzały artylerii pl. niemieckiej. Jeszcze nie dolatując do celu widziałem dwa skupienia reflektorów i strzały artylerii. Któregoś z naszych mocno ostrzeliwali. Kule po kuli z artylerii małokalibrowej wydawały się być w sznurach o pół metra jedna od drugiej, ale te strzały nie donosiły.

Ja przyszedłem na 13. tys. st. i zamknąłem prawie motory i zszedłem do 9 tys. (ok. 3000 m.).

Cel udało nam się znaleźć szybko – był dość wyraźny. Za drugim nalotem bombardier wyrzucił bomby, które podobno trafiły w sam cel.

Już zszedłem z celu w kierunku domu, a tymczasem nawigator mój mówi, że z jednego wyrzutnika bomby nie wyleciały. Trzeba było wrócić jeszcze raz i wyrzucić je. Szczęśliwie i wtedy nie złapali nas reflektorami.

Uczuć specjalnych nie miałem, chciałem zadanie wykonać dobrze. Fakt jest, że nie jest to praca lekka.

Cała załoga wykonała pracę, tę pierwszą próbę, bardzo dobrze.

Teraz znów polecimy, i znów, i znów. Praca i zadanie ciężkie i wymagające wiele rzeczy, których ludziom nie latającym zrozumieć trudno.

Jakie ryzyko?... Dość duże, lub po prostu duże. Można „robić” przeciętnie ilość szczęśliwych powrotów – jedni je szacują na pięć, lub sześć, inni więcej. W każdym razie i ja wszedłem w grono, które ryzyku bezpośrednio podlega, które jest w mocy Boskiej. Robię to, do czego jestem obowiązany wobec mojej Ojczyzny i wobec Was nawet, którzy się za mnie modlicie, Kochani, i którzy z niepokojem czekacie. Waszą modlitwę czuję całym sercem i czuć będę zawsze, gdy będę latał. Wrócić i wrócić do Was pragnę całą duszą, ale zadanie swoje wykonać muszę jak najlepiej.

Mam jeszcze do Was wszystkich, a szczególnie do Ciebie, Kituś, do Marka jako chłopca mojego kochanego, do Alisi parę słów.

Czwartek, dn. maj 41.

Jestem na tygodniowym kursie dla pilotów latania na przyrządy, lądowania we mgle itp. Pojutrze wracam do mojego dywizjonu.

Gdy szedłem wczoraj do swojej kwatery, w powietrzu było masę maszyn, startują o zmierzchu i lecą na wyprawę.

W każdej chwili w nocy teraz lecą i lecą. Czasem również Niemcy.

Gdy byłem niedawno na starcie w nocy, przyleciał, oddał do nas serię z kaemów, kiedyś zbombardował lotnisko.

Ale to już nie to, co u nas i we Francji. Tu nie latają w dzień.

Tu lotnictwo rośnie, widać to po prostu. W nim cała nadzieja. Setki lotnisk, tysiące samolotów.

Wszystko to dla Was – oczywiście w naszych polskich sercach.

Anglicy tak boją się mocnych, zdecydowanych posunięć, przegrywają bezpośrednio wszystkie atuty i okazje, ale walczą; to jest tak strasznie dużo – walczą już nie tylko o swoją egzystencję, nie o nas – a czas, to tylko nam się tak strasznie, nieskończenie spieszy, oni tylko chcą wygrać, a kiedy – to gra mała rolę.

Szczęście w nieszczęściu, że i ich bombardują, tysiące ludzi stale ginie od bomb i wałą się miasta; Naród choć bez duszy, ale na szczęście ma ducha.

Czym dłuższa wojna, tym dla nas realnie mniejsza szansa zobaczenia Was, Drodzy.

Myśl moja błądzi koło Was, a tym jeszcze żywsza jest, że mam stałą świadomość, że jestem od Was o 5 godzin, pięć godzin, tyle czasu co z Warszawy do Torunia.

Stałe pytanie się cisną, choć czasem trzeba się bronić, bo trzeba być mocnym... Ale co w tej chwili?... Ty może jeszcze nie śpisz, może (godzina za 10 dwunasta), zmęczona dziećmi i myślami... jutro znów wstaniesz i znów nic nie będziesz wiedziała, że nadzieja nikła, że Ci pusto i samotnie samej, zimno i beznadziejnie...

Alisia i Maruś, słodkie, kochane Dzieciny śpią pewno. Niech Pan Bóg czuwa nad Wami i niech Was pociesza. On potrafi rozpacz zamienić w radość największą.

Śpijcie, Kochani, całuję Was we śnie Waszym smutkiem...

Dnia 14 maja 1941.

12/13 w nocy bombardowanie Manheim. Zrobiłem około 1100 mil (2000 km)...

Najpierw było ciężko, bo przebijaliśmy chmury, potem piękna, ogromnie jasna, księżycowa noc, a przez to w każdej chwili niebezpieczeństwo myśliwców.

Cel znaleziony, środek miasta. Zadanie spełnione i jeszcze jeden powrót.

Ponieważ to jest robota mocno ryzykowna, więc chcę do Was, Drodzy, parę słów pisać, bo wszystko może być, a kiedyś moglibyście pomyśleć, że ja nie myślałem o Was.

Tylko – ponieważ myśli Wasze mnie podtrzymują – czuję ja po prostu w każdym locie i są one dla mnie najrealniejszą pomocą w niebezpieczeństwie.

Moja maszyna ma napis i nazywa się „ELŻUNIA”, jako wynik jej pierwszej litery rejestr. E. W kabinie mam przywieszoną przez mechaników Matkę Boską, a swoją, tj. tę, którą Alisia tak często zrzuciła, naprawiają mi, bo popękała na kilka części.

Wstydzić się mnie ani Ty, ani Maruś, ani Alisia, ani Wy i Polska nie będziecie... ale stawiam się, że to jedyny posag mój ewentualny...

Dzisiaj znów lecę, to są istne noce świętojańskie, gdyby odrzucić ich niebezpieczeństwo.

11 czerwca 1941.

Ostatnio bombardowaliśmy Duinsburg w Ruhrze. Dostaliśmy pochwałę, gdyż były trudne warunki. Teraz znów jakiś czas nas nie wysyłają, chyba ze względu na pogodę.

ELŻUNIA bardzo słabo ciągnęła.

Mijają dnie i wieczory, tak jak myśli przechodzą. Gdy będą dłuższe noce, wiem, że przylecę do Was, mam strasznie twarde serce, ale nie wiem jak to wytrzymam...

Wiem, jak każdy dzień jest dla Was straszny i ten brak wiadomości...

Żebyś wiedziała, Kituś, że tu mam dwóch przyjaciół – kpt. pil. Hryniewicza Jana i por. pil. Żeligowskiego Tad.

Jak Ty wyglądasz, jak Alisia i Maruś, nasze dzieci ukochane?...

14 czerwca 1941.

Wczorajszej, a właściwie dzisiejszej nocy bombardowałem pancernik niemiecki, Sharnhorst, w porcie francuskim, Brest.

Ja jeden miałem bombę 2000 ft. Bombardowałem z małej wysokości. Byłem pilotem, myśliwcem, wszystkim. Czy trafiliśmy w pancernik – nie wiem, w każdym razie bardzo blisko. Co się tam działo, jeżeli chodzi o reflektory, artylerię i karabiny maszynowe, to nie można opowiedzieć. Długo w tym latałem, żeby znaleźć.

Dzisiaj jestem trochę pijany, a jeżeli tak często będziemy latać, to chyba trzeba będzie tego trochę. Zawsze jednak, w najgorszym, przemknie mi myśl, że myśl Twoja i modlitwa Wasza jest ze mną.

Ty wiesz, Kituś, że dotychczas nie mogę napisać do ciebie specjalnego listu, gdyby mi się miało coś stać, a to samo do Marka, który mnie nie zna, a który sam dopiero będzie musiał poznawać życie, ani do Alisi słodkiej...

Czy Wy, to jest szczególnie Ty i moje Dzieci, będą z a w s z e o mnie myśleć, to co ja myślałem, to czego bym chciał dla Waszej przyszłości.

Mareczku, musisz być zawsze dzielny i prawym mężczyzną i dobrym pięknym Polakiem.

A Kituś, a Ty?... Nic niech nie będzie przed Tobą zamknięte, życie jest życiem, jednakże niech Ci obowiązki, ani dobra pamięć nigdy nie będą ciężarem.

Dobranoc, Kituś...

Tak mi pusto i ciężko i nikogo nie mam, kto by mnie uspokoił... Ale nie ma dzisiaj pardonu dla człowieka...

Tyłu zabijam, ale tych – z rozkoszą.

Dnia 7 lipca 1941.

W nocy, 24 czerwca, zgubiłem z samolotu okulary z całym moim podpisem i nazwiskiem.

Było to nad Niemcami, nad Kolonią.

Do dziś ta myśl mnie strasznie męczy, że to mogłoby się na Was zemścić, gdyby oni je znaleźli.

Dzisiaj rano wróciłem z Brestu, dzisiaj wieczór mam lecieć na swój piętnasty lot bojowy... Myśl moja stale Wam towarzyszy.

Matka Boska, którą Alisia tak stale się bawiła, jest u mnie zawsze w samolocie.

Kituś, trzymaj się... Jeszcze trochę; tak się o Ciebie martwię i boję.

Dnia 14 lipca 1941.

Na tym 15-tym locie nie było zbyt wesoło, chociaż skończyło się nadspodziewanie dobrze.

Gdy dolatywałem do brzegów Belgii, nawalił mi zupełnie lewy motor.

Miałem bombardować Kolonię. Żeby nie wyrzucić bomb do morza, doleciałem jeszcze do Dunkierki, zbombardowaliśmy pięknie same doki w Dunkierce i zawróciłem do Anglii, stale tracąc wysokość... Tam powinienem kazać załodze wyskoczyć, ale z wielkimi trudnościami wylądowałem na polu, które okazało się lotniskiem polowym.

Tam ukradli mi później Matkę Boską z maszyny, czego im nie daruję. „ELŻUNIA” tam jeszcze stoi nieuszkodzona, tylko silnik się zmienia. Był to jej trzynasty lot.

Dzisiaj też lecę.

Zostało nas po dwóch miesiącach 40%.

Tamtej nocy działo się to wszystko między godzi. 12.05 i 1.15.

Myśli Wasze mnie wspomagają...

Dopisano na podstawie Księgi Lotów:

14.07.1941 1st pilot BREMEN - did not return - (nie wrócił)